

Porozumienie przez leżenie

Rozmowa z **Lotte van den Berg**, holenderską reżyserką teatralną i kuratorką Malta Festival Poznań, o tym, jak w skłóconym społeczeństwie ze sobą rozmawiać

Lotte van den Berg – ur. w 1975 r. holenderska reżyserka. Tworzy na granicy tańca, teatru i filmu bardzo osobiste i przejmujące formy, w których najważniejszy jest widz, jego spojrzenie i doświadczenie. Od kilku lat wspólnie z kilkoma artystami tworzy projekt „Building Conversations”, cykl moderowanych rozmów, których uczestnikami są widzowie.



ANETA KYZIOŁ: – **Rozgrywany bez słów „Wasteland” i cykl rozmów „Building Conversations”, które pokaże pani na poznańskim festiwalu, z pozoru dzieli wszystko.**

LOTTE VAN DEN BERG: – Łączy je pustka, to, że są ramami, które widz wypełnia własnym doświadczeniem. W „Wasteland” publiczność z odległości 35 m patrzy na pustą przestrzeń gdzieś

na obrzeżach miasta. Przelatujący ptak, przejeżdżający pociąg czy wiatr w drzewach mogą znaczyć bardzo wiele, bo przykładasz do nich wagę. Tak samo jest z rozmową. „Wasteland” jest o strachu przed bezsensownym życiem, o spychanym głęboko, ale co jakiś czas wpływającym na wierzch poczuciu, że nasze życie nie ma znaczenia. Ten strach jest silniejszy niż słowa, które możemy zna-

leż, by go opisać, łatwiej go przekazać w obrazach, w działaniu.

Projekt „Building Conversations” powstał zaś po tym, jak zadaliśmy sobie pytanie, co to właściwie znaczy współpracować: na poziomie społeczeństwa, polityki, ale też w sztuce. Co się stanie, gdy artyści zaproszą widzów do współtworzenia? Na jednym z festiwali zapytaliśmy więc widzów, czego od nas

oczekują. Okazało się, że nie kolejnego spektaklu, kolejnych dzieł czy konstrukcji scenograficznych, bo czują przesyt – jest za dużo rzeczy, za dużo obrazów. To, czego im brakowało, to okazja do podzielenia się myślami, do rozmowy.

„Building Conversations” jest odpowiedzią na poczucie dzielone przez wielu ludzi, że żyjemy w społeczeństwie, które nawzajem się nie dotyka, nie rozmawia ze sobą, wyłączając grupkę najbliższych i rozmowy formalne, prowadzone w konkretnych celach, a nie te wchodzące głęboko w tematy, drażące. Takie, które mogą zmienić nasze spojrzenie na jakiś problem, na siebie, na świat, wyrwać nas z pułapki rutynowych reakcji i utartych poglądów.

Skąd pomysł, by połączyć nowoczesną, zachodnią myśl filozoficzną z tradycyjnymi, często sięgającymi setek lat sposobami prowadzenia rozmowy?

Przypadek i intuicja. Czytałam książki Chantal Mouffe, francuskiej filozofki, która podkreśla wagę konfliktu w przestrzeni demokracji. Uważa, że demokracja to z jednej strony wypracowana na drodze konsensu wspólnota wartości, z drugiej powinno być w niej także miejsce na dyskusję, ścieranie się racji. Według niej właśnie brak dialogu, spychanie przez większość głosu niezadowolonej mniejszości do podziemia, spowodowały rozwój populizmu i antydemokratycznych sił nie tylko w Polsce, ale też w całej Europie, z moją rodzinną Holandią włącznie. Zamiast wspólnej ziemi mamy leżące naprzeciw siebie wyspy, a zamiast dialogu – ludzi krzyczących z nich na siebie nawzajem.

Gdy czytałam Mouffe, o konflikcie i sposobach wyjścia z dialektyki: konsens albo wojna, usłyszałam o „leżących” zgromadzeniach praktykowanych przez nowozelandzkich Maorysów. Z połączenia teorii Mouffe i praktyki Maorysów powstała „Agonistyczna rozmowa”. Zorganizujemy ją, obok „Parlamentu rzeczy” i „Rozmowy bez słów”, w Poznaniu.

Co konkretnie robią Maorysi?

Mają w swoich społecznościach przestrzeń, w której opowiadają sobie historie ze swojej przeszłości i rozmawiają. To miejsce bez krzeseł. Pozycja leżąca zmienia perspektywę, ułatwia komunikację, łatwiej w niej o kompromis niż na przykład w promowanym przez naszą kulturę dialogu w pozycji stojącej. Osoby stojące twarzą w twarz mogą właściwie tylko albo walczyć, albo się kochać, nie ma niczego pośrodku. Podczas „Agonistycznej rozmowy” zaczynamy od dwóch grup stojących naprzeciw siebie, by w drugiej części kontynuować

rozmowę w pozycji leżącej. Efekty są bardzo ciekawe.

„Rozmowa bez słów” wygląda na jeszcze większe wyzwanie.

Jest inspirowana dorocznym spotkaniem Inuitów. Szefowie społeczności siedzą razem w ciszy przez kilka godzin, potem dziękują sobie nawzajem za obecność i wracają do siebie. Ten typ spotkania jest faktycznie wymagający, ale daje jego uczestnikom niecodzienne doznania, przynosi odpowiedź na pytanie, co się z tobą stanie, gdy stracisz szansę wypowiedzi za pomocą słów.

Często używamy języka do ukrywania się za nim, jako maski dla prawdziwych emocji, do tworzeniu image’u. Pozbawieni dekoracji słów, możemy poczuć się nadzy i puści. To wyzwala dużo emocji, ale też energii. Więc „Rozmowa bez słów” faktycznie jest najbardziej radykalną rzeczą w naszym repertuarze. Osobiście najbardziej ją lubię, bo dochodzi do jądra tego, czym jest komunikacja, każe się zastanowić nad tym, co to znaczy patrzeć na kogoś czy na coś, co to znaczy być widzmem.

Artyści rzadko się nad tym zastanawiają.

Ja naprawdę kocham być widzmem. Kiedy coś oglądasz, możesz zapomnieć o sobie, o swojej obecności. Widzisz drzewo czy zachodzące słońce i na swój sposób możesz poczuć, że rozpływasz się w tym, co widzisz. Aż nagle nadchodzi szok, gdy zdajesz sobie sprawę: ja też tu jestem! W tej rozmowie też tak jest: przyglądam ci się i nagle zdaję sobie sprawę, że ty też patrzysz na mnie. To poczucie bycia w świecie, bycia jego częścią, że ludzie i rzeczy patrzą na ciebie, że wpływasz na to, co widzisz – to coś, co bardzo lubię: obecność jako doświadczenie, silniejsze w konwersacji bez słów.

Na końcu rozmowy zatytułowanej, za Brunonem Latourem, „Parlament rzeczy”, podczas której uczestnicy wcielają się w przedmioty, pada pytanie o szansę zmiany naszego myślenia, a w konsekwencji świata. Jaki jest właściwie cel „Building Conversations”?

To pytanie o to, czy obserwując nasze ścieżki myślenia – wzory postępowania, fiksacje, które mamy, słowa, które zawsze powtarzamy, sposoby, w jakie zwykle reagujemy – możemy je przełamać? Na małą skalę tej konkretnej rozmowy, ale też na wielką skalę tego, jak patrzymy na siebie, kim i jak jesteśmy w świecie. Badamy to, jak mówimy, i to, jak moglibyśmy mówić. Jak robimy i jak moglibyśmy robić. Staramy się wyćwiczyć w uczestnikach elastyczność myślenia. Bo sami mamy tendencję do zamykania się w poglądach, ideach, w rolach. ►



© TORBEN HUSS



© KRIS DEWITTE

Projekty Lotte van den Berg „Wasteland” (u góry) i „Building Conversations” będzie można obejrzeć na tegorocznym Malta Festival Poznań.

► Ja jestem artystką, ty jesteś dziennikarką, ty oglądasz, ja tworzę, to identyfikacja z pewnymi rolami. Mnie sporą frajdę sprawia zaburzenie identyfikacji. W „Building Conversations” to widowie kreują, z naszą pomocą. Trochę tej płynności mogłoby się przydać także polskim politykom i ich wyborcom, tak bardzo zafiksowanym w swoich rolach i poglądach, nigdy nieodpuszczającym. Pytanie brzmi: jak lekko odpuścić?

Można na przykład spojrzeć na omawiany temat z różnych perspektyw czasowych, jak w rozmowie typu „Time Loop”?

W „Time Loop” staramy się na omawiany temat, dylemat czy problem

spojrzeć z perspektywy teraźniejszości oraz co najmniej stu lat do tyłu i stu lat do przodu. Na przykład, jak otwarcie czy zamknięcie granic Europy dla imigrantów, wzbudzające dziś tyle kontrowersji i strachu, może być postrzegane z perspektywy XIX i XXII w. To pozwala schłodzić dyskusję, odrzec ją z emocji, jakie dziś wzbudza.

Kilka lat temu spędziła pani z grupą aktorów rok w Dordrechcie, miasteczku pod Rotterdamem. Zainspirowani falą rasistowskich wystąpień w Holandii, zjawiskiem zamykania się społeczeństwa na innych, pojechaliście badać małą społeczność. Jak poszło?

Rok zakończyliśmy spektaklem z udziałem 50 osób z miasteczka, było bardzo miło. Ale w samej Holandii, w Europie i Polsce czas jest coraz ciemniejszy, ludzie się od siebie separują, społeczności się zamykają, w kontaktach z przyjezdnymi, zwłaszcza obcymi kulturowo, króluje strach i agresja. „Building Conversations” powstał także po to, by na swój mały i ograniczony sposób z tym walczyć. Poszliśmy z nim do szkół, bo czujemy, że każdy ruch, który pomaga zatrzymać tę fiksację, blokadę, jest wart podjęcia. Wiele z tematów naszych konwersacji dotyczy segregacji ludzi, zamykania granic, kształtu Europy. Nie robimy wielkich spektakli, ale oferujemy małym grupom ludzi przeżycie – doświadczenie. Z pola sztuki przesuwamy się w pole społeczeństwa. Jest coraz więcej możliwości, pojawiają się fundusze na sztukę w społeczeństwie, artyści są zapraszani do współtworzenia procesów społecznych. W szkołach, w korporacjach.

Nigdy nie myślała pani o robieniu klasycznego teatru?

Nawet w szkole teatralnej uważałam, że od tego są inni. Zawsze lepiej się czułam na obrzeżach teatru, używając środków teatralnych i przestrzeni teatralnej do pytania o sposób, w jaki widzimy świat, innych ludzi, czego jeszcze nie wiemy, ciszę, pustkę. W teatrze zawsze mnie najbardziej interesowała rola widza, więc zaczęłam myśleć o swojej pracy z tej perspektywy. Nigdy nie marzyłam o opowiadaniu historii czy wystawianiu sztuk, zawsze chodziło mi o relację widza i aktora. Może w „Wasteland”, inspirowanej „Hańbą” Coetzeego, byłam najbliższej opowiedzenia historii, ale tu też pozycja widza, dystans, z jakiego śledzi bohaterów i ich działania, jest bardzo ważna.

Pani ojciec po latach tworzenia teatru odszedł z zawodu, który wydał mu się kłamstwem, i został pustelnikiem, mieszka w chacie na holenderskiej wsi. Czy pani postrzeganie teatru jako miejsca właściwie bez fikcji ma związek z jego historią?

Pewnie tak, choć także z jego sposobem pracy w teatrze. W jego spektaklach – tworzył teatr lalkowy, ale nie ukrywał się za kotarą, lalki były w jego rękach – publiczność zawsze była widoczna i ważna. Od najmłodszych lat widziałam i wiedziałam, że teatr jest żonglerką rzeczywistego i kreowanego, lubię pracować na granicy tych dwóch pól. Od ojca przejęłam też myślenie, że teatr to nie jest zawód na całe życie, że zawsze można się wycofać, zmienić życie. To daje wolność tworzenia.

ROZMAWIAŁA ANETA KYZIOŁ